



LUTY 2022

ROAD OF ADVENTURE

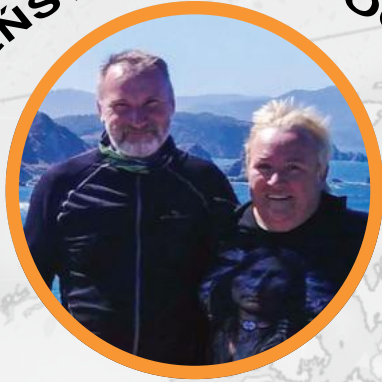
NUMER 2



01

PISZĄ DZIŚ DLA WAS

MAŁŻEŃSTWO Z MOTOCYKLEM



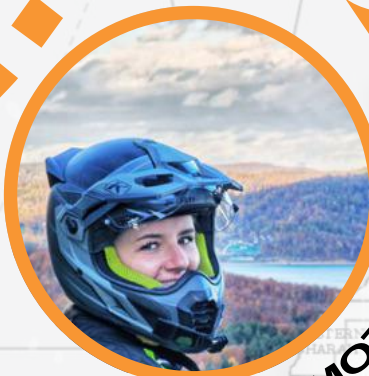
ADV HOPPERS



FREEBIRD RIDER



BIKERS ADVENTURE



MOTOHERO



MAŁA I DUŻY W PODRÓŻY

CHCESZ DOŁĄCZYĆ DO GRONA OSÓB
WSPÓŁTWORZĄCYCH TEN MAGAZYN?
NIC PROSTSZEGO! NAPISZ DO NAS
PRYWATNĄ WIADOMOŚĆ NA NASZYM
FANPAGE NA FB LUB MAILA NA ADRES
ROA@ROADOFADV.COM



OD REDAKCJI

Czołem!

Wiosna zbliża się powoli, a większość z Was pewnie już spogląda za okno, czekając z utęsknieniem, żeby znowu wsiąść na swoje dwa kółka i ruszyć przed siebie. Chcąc Wam umilić ten czas oczekiwania, oddajemy w Wasze ręce kolejny numer naszego podróżniczego magazynu - Road of Adventure. Znajdziecie w nim artykuły z całego świata, które być może zainspirują Was do odkrywania jego wszystkich niezwykłości. Niestety nie wszystko poszło z naszym planem, jak to często w życiu bywa. Autor wielu książek podróżniczych i zapalony motocyklista - Witek Palak, który miał być gościem specjalnym drugiego numeru, utknął gdzieś w lankijskiej dżungli na Sri Lance i mimo, że wywiad z nim udało nam się przeprowadzić, to nie był już w stanie przesać nam zdjęć do niego. Nie chcemy też opóźniać wydania tego numeru, dlatego puszczamy go bez wywiadu. Nadrobimy to w następnym.

Chcielibyśmy również podziękować Wam za wszystkie wiadomości, które od Was otrzymaliśmy po wydaniu pierwszego numeru. Nawet nie wiecie, jak bardzo jest to dla nas miłe i motywujące do dalszego działania. Jest w Was moc! Dzięki raz jeszcze, miłego czytania i do zobaczenia w następnym numerze!

Pozdrawiam,

*Karolina
Kowalska*

ZOSTAŃ PATRONEM
ROAD OF ADVENTURE



REDAKCJA:

Redaktorka naczelna - Karolina Kowalska

Skład i opracowanie graficzne - Szymon Zobniów

WYDAWCA: Road of Adventure, Smáratún 28, 230 Keflavík, Iceland, PHONE: +354 6639467, EMAIL: roa@roadofadv.com, WWW: <https://www.roadofadv.com>

Wszystkie artykuły, zdjęcia i inne materiały publikowane w magazynie "Road of Adventure" chronione są prawami autorskimi. Powielanie, kopiowanie, przedruk lub inne użycie całości, bądź też części publikowanych tutaj materiałów, wymaga wcześniejszej zgody właścicieli praw autorskich. Chcesz ją uzyskać? Skontaktuj się z nami pisząc na adres roa@roadofadv.com
Zdjęcie na okładce: Wojtek Borkowski

STRONA 6

Naddniestrze, tam gdzie Lenin wiecznie żywy

NADDNIESTRZE

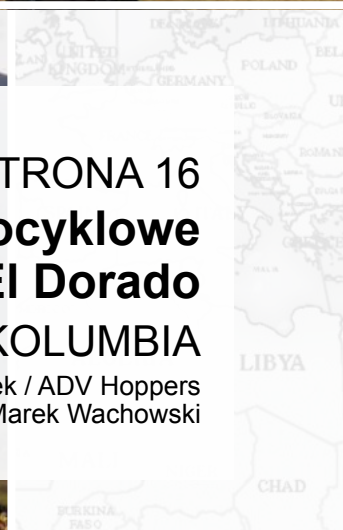
Autorzy: Małżeństwo z Motocyklem



STRONA 16

Nasze motocyklowe El Dorado KOLUMBIA

Tekst: Agata Dudek / ADV Hoppers
Zdjęcia: Agata Dudek, Marek Wachowski



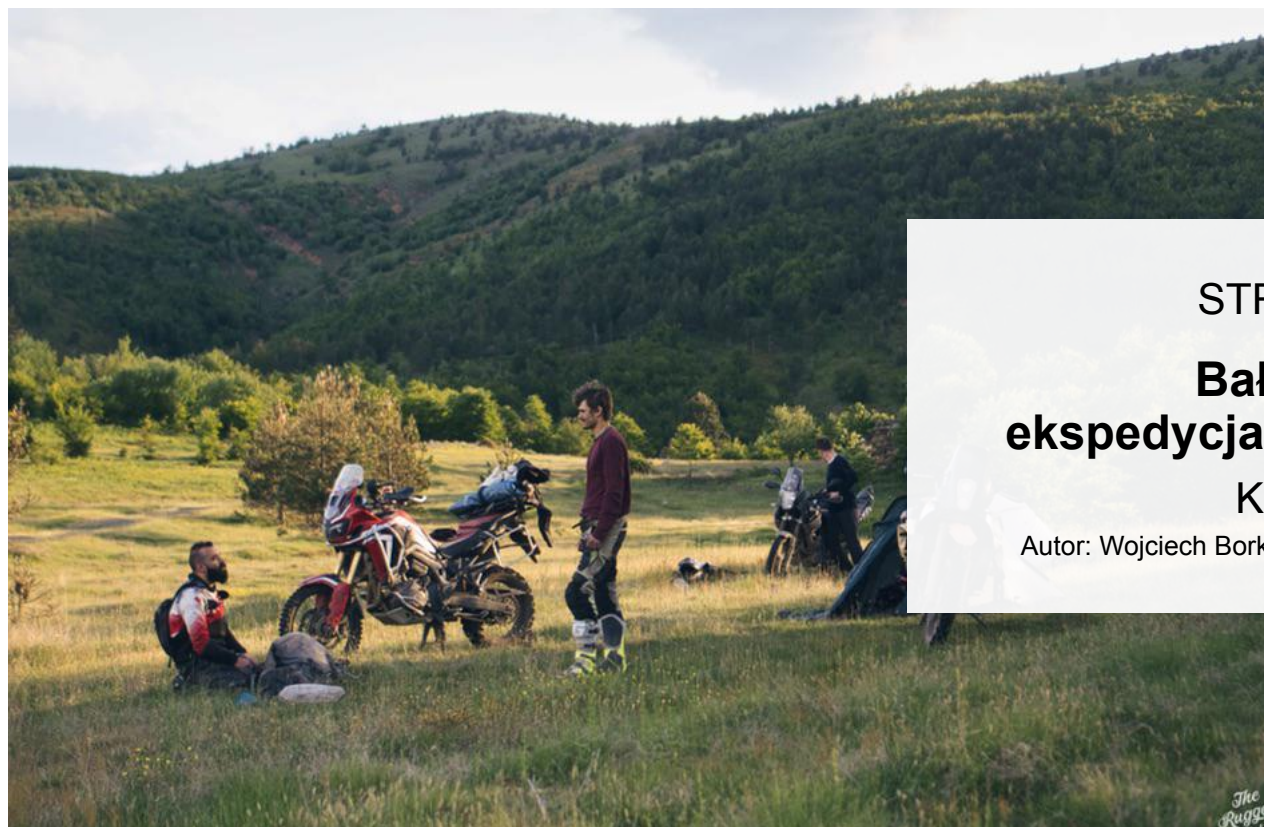
STRONA 28

W drodze na Transalpinę

RUMUNIA

Autor: Paweł Nowak / Freebird Rider



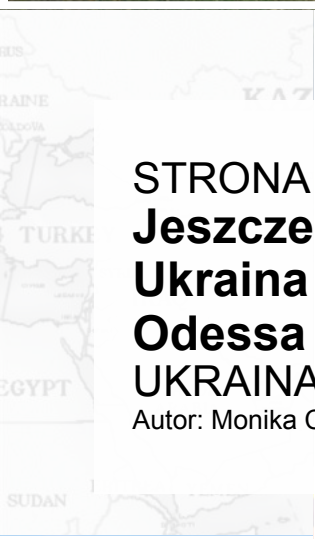


STRONA 38

**Bałkańska
ekspedycja offowa**

KOSOWO

Autor: Wojciech Borkowski / Bikers

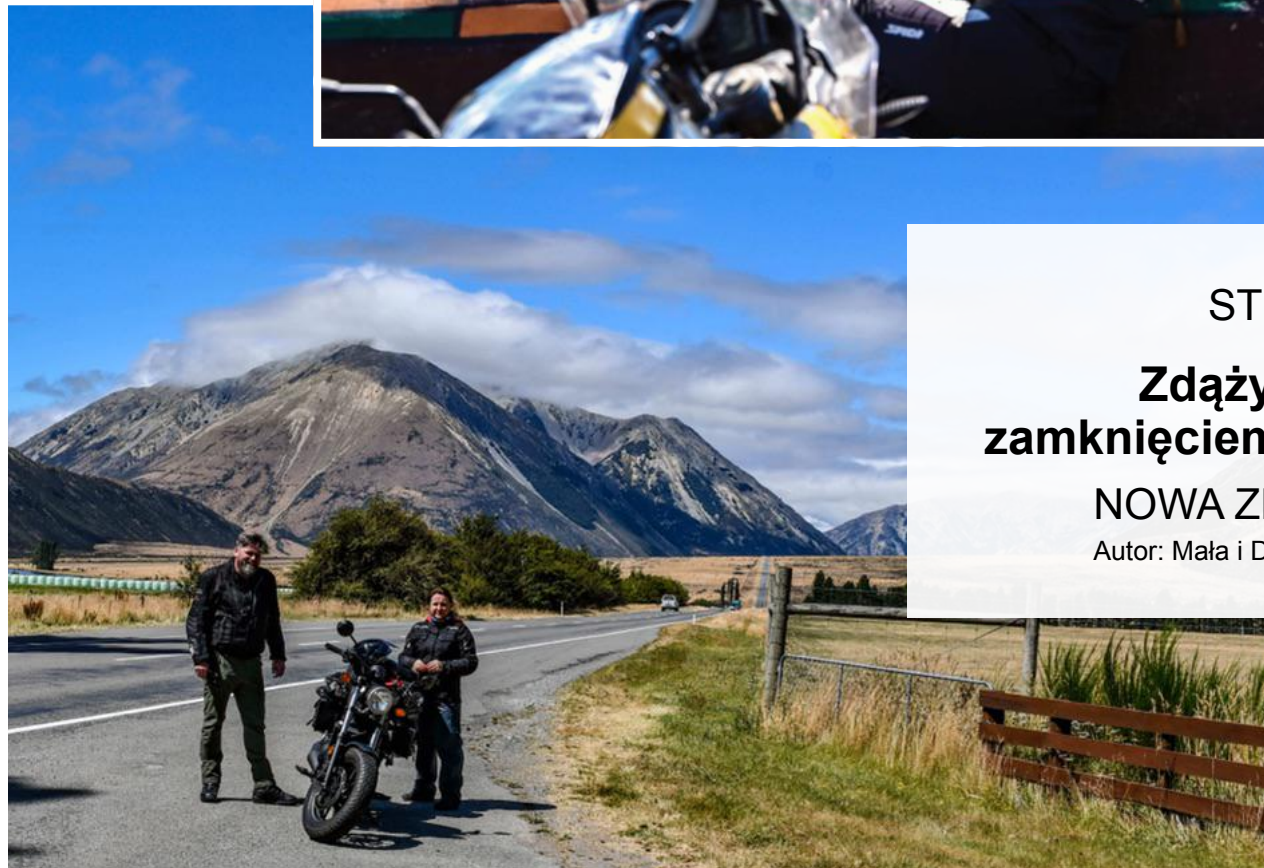


STRONA 48

**Jeszcze nieodkryta
Ukraina - Karpaty i
Odessa**

UKRAINA

Autor: Monika Czerniejewska



STRONA 56

**Zdążyć przed
zamknięciem świata**

NOWA ZELANDIA

Autor: Mała i Duży w Podróży





EUROPA
NADDNIESTRZE





NADDNIESTRZE - TAM, GDZIE LENIN WIECZNIE ŻYWY...

DLACZEGO NADDNIESTRZE?

- BO PRAWIE NIKT GO NIE UZNAJE,
- BO PRAWIE NIKT TAM NIE JEŹDZI,
- BO NIE MA TAM NIC CIEKAWEGO,
- BO JEST PO DRODZE DO ODESSY,
- BO TAK ...

Tekst i zdjęcia: MAŁŻEŃSTWO Z MOTOCYKLEM



EUROPA

NADDNIESTRZE



Dzisiejszy poranek obudził nas pięknym słońcem. To dobrze, bo ruszamy w nieznane nam obszary (czyt. tam gdzie sierp i młot mają się całkiem nieźle:)) i zupełnie nie mamy pojęcia jak będzie wyglądało przekraczanie granicy i poruszanie się po tamtejszych drogach, o kontaktach z milicją nie wspominając.

Naddniestrze to samowłańcza republika, która w 1990 roku wydzieliła się z Mołdawią i ogłosiła niepodległość. Nikt nie uznał jej jako państwa (a nie, sorry, uznały ją także nieuznawane przez nikogo Abchazja i Osetia Południowa), ale jednak faktów nie oszukasz: Mołdawia nie ma żadnej kontroli nad tym terytorium, które od ponad ćwierć wieku rządzi się własnymi prawami. A prawa, to rządy twardej ręki i przymykanie oka na nepotyzm, korupcję i zorganizowaną przestępczość. Naddniestrze ma dziś wszystkie atrybuty państwa. Kraj wybrał swojego



Granica między Mołdawią a Naddniestrzem - jeszcze możemy zawrócić



Udało się. jesteśmy w Naddniestrzu

prezydenta, premiera i parlament. Ma swoją flagę i walutę – naddniestrzańską rubla. Naddniestrzańska flaga to jedyna na świecie, która wciąż używa symbolu sierpa i młota. Godło również zawiera sierp i młot, czerwoną gwiazdę i flagi, a do tego wieńce z kłosów i owoców. Będąc w Naddniestrzu należy pamiętać, że znajdujemy się w republice separatystycznej, będącej pod kontrolą nieuznanego rządu sponsorowanego przez Rosję.

Z tego co wyczytaliśmy z nielicznych wskazówek o wyprawach turystycznych do Naddniestrza wyłaniało się jedno – nie rób zdjęć, nie dyskutuj, nie wygłupiaj się. Jeżeli napotkany żołnierz wezwie Was do siebie i każe skasować zdjęcie, to zróbcie to bez gadania. Ten kraj nie istnieje, ma nieistniejącą granicę, nieistniejący rząd, nieistniejącą walutę, ale za to jak najbardziej prawdziwe wojsko, milicję i przepisy.



Poza tego typu sprawami Naddniestrze zasadniczo nie różni się od Mołdawii, a nieliczni turyści są bardzo miło witani, o czym kilkakrotnie się przekonaliśmy.

Zbliżamy się do nieistniejącej granicy, nieistniejącego państwa – granicy w Benderach. A jednak są bramki, szlabany i mężczyźni w mundurach. Zatrzymaliśmy się przy znaku STOP, a Doti nie byłaby sobą gdyby nie zabawiła się w Tajemniczego Don Pedra z Krainy Deszczowców i nie cyknęła kilku fotek granicy zza moich pleców. Na szczęście milicjant mołdawski tego nie zauważył i machnął tylko ręką żeby jechać dalej. Po około 100 metrach stały budki naddniestrzańskie. Zatrzymaliśmy się przy okienku gdzie musieliśmy podać charakter i czas naszego pobytu w Republice. W Naddniestrzu jest trochę dziwny system meldunkowy. Bez obowiązku informowania milicji o swoim pobycie można tu przebywać max 10 godzin, potem trzeba udać się na komisariat z karteczką z hotelu czy innego miejsca noclegowego i się meldować. Przy naszym pobycie turystycznym, nie musieliśmy podawać miejsca pobytu, ponieważ nie zamierzaliśmy tam pozostać dłużej niż 10 godzin. Później kontrola paszportowa, gdzie powiedziałem, że jedziemy tranzytem do Odessy i wtedy dostaliśmy karteczki "wizar", które oddaje się przy wyjeździe. Oczywiście pod żadnym pozorem nie można ich zgubić. Na karteczkach oprócz naszych nazwisk (też pisanych cyrylicą), numerów paszportów była wpisana godzina wjazdu i godzina do której mamy opuścić Naddniestrze. Kolejna budka – celnik sprawdza nasze paszporty i każe podjechać do mundurowego. Ten przyjaźnie macha ręką, otwiera szlabany i pozwala nam jechać. I co? I to wszystko? Całe procedowanie trwało 10 minut. A gdzie cło importowe, które trzeba opłacić za pojazd którym się

wjeżdża? Przejechaliśmy kilkaset metrów, cały czas będąc w szoku. Może to jakiś pas niczyi, może zaraz będą kolejne budki? Nic z tego.

WITAMY W NADDNIESTRZU!

Pierwsze co rzuca się w oczy po wjeździe do Bender to przestrzeń. Szerokie ulice, niewysoka zabudowa, szarawy beton, trolejbusy, posterunki milicji i

wojska. Socrealizm wiecznie żywy. Czerwono-zielone flagi, typowe sowieckie miasto, które sprawia wrażenie pustawego, jakby opuszczonego. Drugie, to Szeryf. Szeryf czyli największa korporacja w Naddniestrzu kontrolowana przez "ichniego" byłego prezydenta. Poliszynel mówi bez ogródek o mafii, rosyjskich służbach i innych szemranych powiązaniach, w



każdym razie tym logo sygnowane są stacje benzynowe, supermarkety, sieć telefonii komórkowej, firma budowlana, kanał telewizyjny, wydawnictwo, piekarnie, salon Mercedesa, agencje reklamowe oraz oczywiście najbardziej znany klub piłkarski Sheriff Tyraspol, który pokazał Legii Warszawa, gdzie jest jej miejsce w szeregu :(, a nawet Realowi Madryt, który przegrał w LM na Santiago Bernabeu. Firma

jest nawet właścicielem destylarni sławnych koniaków KVINT. Jednym słowem Szeryf to Naddniestrze, a Naddniestrze to Szeryf. Prywatny folwark.

Trochę nam zajęło znalezienie twierdzy w Benderach, ale się udało. Podjechaliśmy pod bramę jakiejś fabryki, przy której stanęliśmy przed stróżówką, obok której stał umundurowany młodzieńca. Musimy wejść do środka i kupić bilety. Pan mundurowy



Twierdza w Benderach



W Naddniestrzu niepodzielnie rządzi Szeryf



EUROPA

NADDNIESTRZE



Wyrzałowa kobieta!



Pięciu tenorów



No to jedziemy...

pokazał nam jak podejść pod twierdzę i jak ją zwiedzać. Sama twierdza była bardzo ładna, większa od tych które zwiedzaliśmy w Kamieńcu i Sorokach, choć w sumie nic spektakularnego w środku nie było. Zrobiliśmy sobie oczywiście foty na kuli barona Münchhausena, weszliśmy na mury z wieżyczkami, po których można pospacerować, dotrzeć na punkty widokowe i popatrzeć na Dniestr (zwany tu Tyrka). W środku dziedzińca z ładnymi zabudowaniami, dyby, maszyny oblężnicze. Niedaleko jest cerkiew św. Aleksandra Newskiego, do której nie weszliśmy.

Wszystko jest bardzo ładnie odnowione, widać, że ktoś o to dba. W sklepiu oczywiście magnesy do naszej kolekcji. Pani w sklepiu (mało uśmiechnięta) przeliczyła nam hrywny na ruble trochę "zaokrąglając" na swoją korzyść. Ale nic to, warto było, bo magnety z Naddniestrza są rzadkością a prawdziwa "perełka" jaka nam się trafiła, której nadałem tytuł "Pięciu Tenorów" przedstawiająca Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina i Putina nie zdarza się często.

Ponieważ w Benderach poza "kriepostą" nic do zwiedzania nie ma, ruszyliśmy w kierunku

stolicy, czyli Tyraspolu. Nie chcąc narazić się "władzy", jechaliśmy poniżej dozwolonej prędkości, bo o Naddniestrzańskiej milicji krążą legendy. Polacy tutaj nie mają żadnej ochrony konsularnej, a "zielona karta" nie działa.

Turyści uwielbiają używać określenia „sowiecki skansen” wobec stolicy Naddniestrza. Krążą legendy na temat braku wielu znanych nam z „naszego” świata udogodnień – jak internet, płatność kartą czy telefony komórkowe. Niektóre sceny naprawdę przenoszą w przeszłość. Na pierwszy rzut oka trudno się nie zgodzić z tym określeniem. Co krok spotykamy naddniestrzańskie symbole wprost odnoszące się do tych znanych z czasów ZSRR, a po ulicach jeździ sporo samochodów z poprzedniej epoki. Większość budynków jest szara, klockowata i nie odbiega architektonicznie od czasów sowieckich, ale chyba nie ma kraju w Europie wschodniej, który nie miałby w swoim dorobku takiego budowlanego stylu.

Przy głównej ulicy zatrzymujemy się i wymieniamy całe 10 \$ na ruble naddniestrzańskie. Waluta, która nie istnieje, jest niewymienialna praktycznie nigdzie. Małe, dość estetyczne banknoty, na większości nominałów widnieje popiersie Suworowa obwieszzonego medalami. Niesamowite jest to, że w kraju tak często odwołującego się do tradycji ZSRR na pieniądzu jest carski generał :). Na jednym z papierków miga też Szewczenko. Te przedziwne pieniądze sprawiają wrażenie jakby były kolorowymi banknotami z „Monopoly”, a plastikowe monety przypominają żetony z kasyna.

Nasz pierwszy punkt obowiązkowy na dziś – Zielony Market. Kolorami (majątkowym zielonym i ciemno



EUROPA

NADDNIESTRZE

zielonym :)), hala targowa przypomina brzydkie budynki początku lat 90-tych różniące się od poprzedniej epoki tylko tym, że są kolorowe i jeszcze bardziej bezkształtne niż te z czasów komuny. Nieważna jest jednak ta brzydka powierzchowność. To w środku zaczyna się magia!

Moto zaparkowaliśmy kilkadziesiąt metrów wcześniej przed sklepem z kwiatami (sztucznymi), głównie na cmentarne pomniki. Elegancka właścicielka sklepu pozwoliła zostawić u siebie kaski i obiecała, że popilnuje nam motocykla. Była godzina 14-ta, sklep zamykała o 15-tej, więc na wizytę na targu pozostało nam niewiele czasu. Idąc w kierunku targu zapytaliśmy tubylca czy

dobrze idziemy. Odpowiedział, że tak i pyta skąd jesteśmy. Odpowiedzieliśmy, jak wszędzie "Polsza, Lewandowski...". A on jakby nie zrozumiał drugiego członu i mówi: "Polsza... czteryje tankisty i sobaka. Ja znam. Pieczka!!!". Szczerze się uśmieśliśmy. Jak widać Lewandowski nie wszędzie otwiera drzwi :).

Ciąg dalszy artykułu znajdziesz w kolejnym numerze „Road of Adventure”



Waluta Naddniestrza



Zielony Market

MAŁŻEŃSTWO Z MOTOCYKLEM

Projekt Małżeństwo zakiełkował w głowach Doroty(Doti) i Maćka(Maćko) 37 lat temu. Po 20 latach dołączył do nich motocykl (Moto Guzzi – Guzzilla). Od tej pory wspólnie przemierzają drogi jako Małżeństwo-z-motocyklem.





AMERYKA POŁUDNIOWA

KOLUMBIA

NASZE MOTOCYKLOWE ELDORADO

AMERYKA POŁUDNIOWA BYŁA ZAWSZE NA LIŚCIE MOICH MARZEŃ. KIEDYŚ MYŚLAŁAM, ŻE BĘDZIE TO STANDARDOWY PLECAKOWY WYJAZD, W DODATKU DO ZUPEŁNIE INNEGO KRAJU NA TYM KONTYNENCIE. A WYSZŁO MOTOCYKLOWO W KOLUMBII. W CIĄGU DWÓCH TYGODNI PRZEJECHALIŚMY PRAWIE 2200 KM.

Tekst: Agata Dudek

Zdjęcia: Agata Dudek, Marek Wachowski





AMERYKA POŁUDNIOWA

KOLUMBIA



Ze wzgórza Monserrate, na które można dostać się kolejką, można podziwiać Bogotę



Polski Fiat na ulicach Bogoty



Niedziela na ulicach Bogoty



Po powrocie z Afryki Zachodniej, gdy opisałam tamtejsze przygody, napisał do mnie Marek, mniej więcej tymi słowami: "Ty, w przeciwieństwie do innych, nie boisz się Afryki. Ja tam ciągle jeżdżę sam, byłem w większości krajów, może



W Muzeum Policji w Bogocie można poznać historię Pablo Escobara

kiedyś uda się nam pojechać razem?" Propozycja ciekawa i kusząca, pomyślałam, bo jak wiadomo, ja chcę pojechać wszędzie. "To gdzie jedziemy?". Może Uganda i Rwanda? Togo, Benin, Ghana? A może jakiś inny kierunek, np. Oman? Albo w zupełnie inną stronę? Ekwador? A może... Kolumbia?

Udało nam się znaleźć wypożyczalnię w Medellin, która miała dwa motocykle Bajaj Discover 150 ST, będące w naszym zasięgu finansowym. Zarezerwowaliśmy je i pomimo panoszącego się w

Ameryce Południowej wirusa Zika ruszyliśmy do Kolumbii.

BOGOTA

Każde z nas leci inną trasą, więc spotykamy się dopiero w Bogocie. Nasz hostel położony jest w historycznej części stolicy. Meldujemy się, robimy małe przepakowanie wartościowych rzeczy. No właśnie... Gdzie nosić kasę lokalną? Gdzie dolary? Gdzie karty kredytowe? Czy paszport ze sobą, czy zostawić w hostelu? Później wychodzimy na zasłużone piwko, by zapoznać się z lokalną atmosferą.

Rano ustaliśmy dalszy plan działania – do Medellin jedziemy dopiero nocnym autobusem, w związku z czym mamy czas na zwiedzenie stolicy. W niedzielę centrum Bogoty jest zamknięte dla ruchu samochodowego, więc ludzie poruszają się pieszo i na rowerach. Dodatkowo wszystkie muzea są darmowe i za namową policjantów odwiedzamy... muzeum policji. Mamy okazję poznać historię kolumbijskiej policji, jej umundurowanie i wyposażenie, zobaczyć historyczne pojazdy i kolekcję broni, a także zapoznać się z działalnością antynarkotykową, w tym całą



Plac Bolívara w Bogocie



Kolor, taniec i śpiew to nieodłączny element ulic Bogoty

historią i rekwizytami związanymi z Pablo Escobarem (m.in. broń, zegarek, biurka ze skrytkami na kasę, telefony satelitarne i maszyny do liczenia pieniędzy, których miał więcej niż kolumbijskie służby). Następnie kolejką linową udajemy się na wzgórze Monserrate. Wagonik wywozi nas na 3150 m n.p.m. Pod nami roztacza się panorama

Bogoty. Ośmiomilionowe miasto wylewa się poza horyzont.

PIERWSZE WRAŻENIA

Nocny autobus do Medellin jedzie całkiem zwawo, więc dojeżdżamy godzinę przed czasem. Wymiana pieniędzy na lokalną walutę w dworcowym kantorze, w



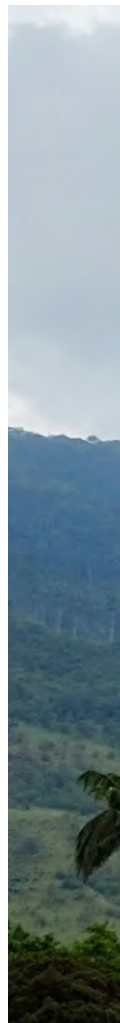
Jedzenie ze straganów jest nie tylko smaczne i świeże, ale też bardzo tanie

towarzystwie uzbrojonych konwojentów, jest co najmniej ciekawym doświadczeniem.

Motocykle odbieramy od Harry'ego, Austriaka, który prowadzi tu klinikę weterynaryjną, a przy okazji wypożycza motocykle. Dopełniamy formalności i każde z nas wyskakuje z miliona kolumbijskich pesos i 250\$ kaucji. Nasze małe motocykle są nieprzyzwoicie lekkie i skręcają w miejscu. No i te biegi - luz na samym dole i wszystkie kolejne w górę. Harry nie daje nam żadnych narzędzi czy części zapasowych, twierdząc, że drogi są dobre, a motki niezawodne - oby miał rację.

Ruch jest spory, ale szybko się do niego przyzwyczajamy. Po prostu nie można się

Dolina Cocora. Palmy woskowe potrafią osiągnąć wysokość nawet do 60 metrów.





Trekking po dżungli – można poczuć się jak Indiana Jones.



AMERYKA POŁUDNIOWA
KOLUMBIA



Nocne życie w Yumb...



Piękne widoki są na każdym kroku



opakowanymi w niebieskie worki. Na zielonych wzgórzach widać plantacje kawy. Przez ciągłe postoje spowodowane zachwytem nad pięknymi okolicznościami przygody droga idzie nam bardzo powoli. Większe tempo wyzwala w nas jedynie niebo, które każdego popołudnia zasnuwa się ołowianymi chmurami.

Większość lokalnych miasteczek ma podobny plan budowy – centralny plac z deptakiem (na którym wieczorem ustawiają się stragany z jedzeniem), obowiązkowo kościół na jednym z boków, a reszta to hoteliki, knajpki i sklepy. W miarę możliwości staramy się zatrzymywać na noclegi właśnie w takich miejscach, żeby wieczorami chłonąć atmosferę, jedząc lokalne przysmaki ze straganów, i popijając zimne piwo przy latynoskich dźwiękach sączących się z wszechobecnych głośników.

PALMY I KOLIBRY

Miasteczko Salento jest idealnym punktem

wahać. Jazda po głównych drogach, zwłaszcza w okolicach większych miast, to walka z ciężarówkami. Jeżdżą one tutaj dość szybko, ścinają zakręty, bo wolą jechać siłą rozpędu niż męczyć się na niskim biegu. W efekcie albo jest je dość trudno wyprzedzić, albo kąsają na winklach, bo jadą ze stałą prędkością narzuconą przez tempomat. Przez to często nie mieszczą się na swoim pasie i zahaczają o ten przeciwny. Jeśli tak wyglądała jazda autobusem z Bogoty, to dobrze, że prawie całą drogę przespałam.

Robi się coraz ładniej, pogodowo i krajobrazowo. Drzewa mają bajecznie kolorowe kwiaty. Pojawiają się "płaskie" palmy wyglądające jak wachlarz, jak i bananowce z kiściami owoców



Fotografowanie kolibrów to trudne zadanie – ruszają się zbyt szybko.



AMERYKA POŁUDNIOWA

KOLUMBIA

Soczyście zielone góry wymuszają częste postoje na robienie zdjęć.



wypadowym do Doliny Cocora, słynącej z charakterystycznych palm woskowych, których wysokość sięga nawet 60 m. To narodowe drzewo Kolumbii. Postanawiamy zrobić mały trekking najbardziej typowym ze szlaków, który najpierw wiedzie przez pola, następnie wbija się w dżunglę, a potem można wyjść jeszcze wyżej, na rozległe paramo wiodące aż pod wulkan Nevado del Tolima. Niesamowitym doznaniem jest wizyta w "domu kolibrów" – nawet udaje się sfotografować te



Nasze małe motocykle dzielnie radziły sobie na krętych szutrowych drogach Kolumbii.



Policja to cenne źródło informacji na temat miasteczek – co warto zobaczyć, gdzie szukać noclegu i w które dzielnice nie należy się zapuszczać



AMERYKA POŁUDNIOWA

KOLUMBIA

malerkie i ruchliwe ptaki.

POLICJA I WOJSKO

Czujemy, że powoli zaczyna się pora deszczowa. Jedna z mocniejszych ulew powoduje, że skrącamy dzień jazdy i zatrzymujemy się w Popayan – uroczym i uporządkowanym miasteczku. Ciekawe jest to, że w jego centrum obowiązuje zakaz jazdy dwóch mężczyzn na jednym motocyklu - związane jest to z częstymi kradzieżami i rozbojami, a policjanci skutecznie ten zakaz egzekwują. Ulice są w zasadzie mieszanką dwóch kolorów – jaskrawej żółci i zgniłej zieleni. Jest pełno policji i wojska. Maszerują po ulicach we wszystkich kierunkach. Na skrzyżowaniach jest ich sporo, a im bliżej głównego placu w mieście tym więcej. Zastanawiam się - to, że są, to znaczy, że jest niebezpiecznie, czy wręcz przeciwnie? W sumie czujemy się bezpiecznie – odwiedzamy

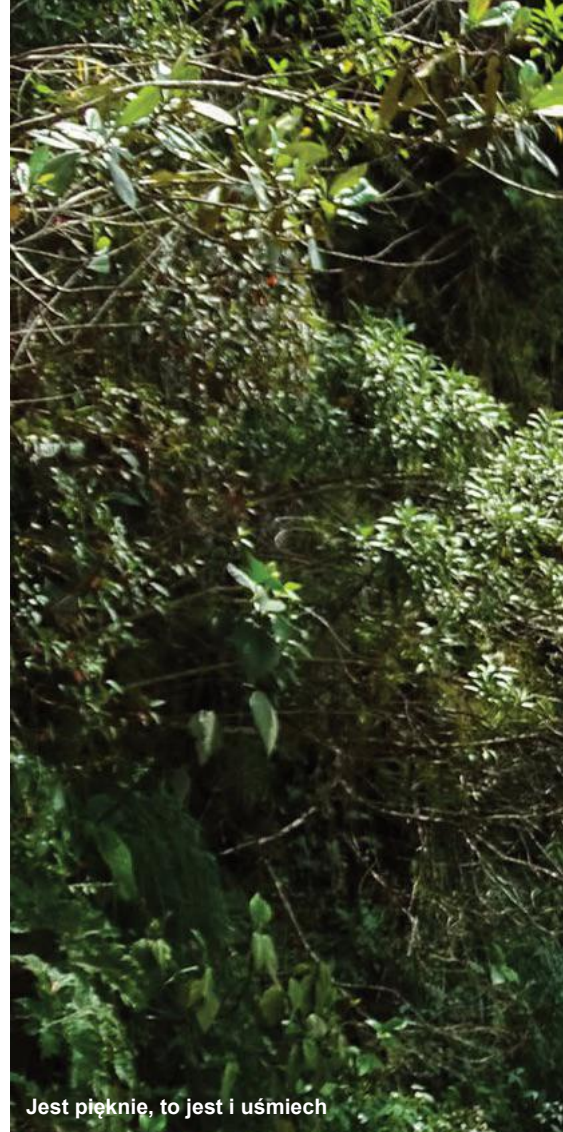
nawet bardzo lokalną knajpę – klub bilardowy w którym bawią się mieszkańcy miasteczka.

WYKOPALISKA

W San Agustin planujemy odwiedzić Park Archeologiczny. W okolicy jest sporo miejsc, które słyną z prekolumbijskich rzeźb i rękodzieła wykopanych spod ziemi, ale na pewno nie uda nam się zwiedzić wszystkich, więc stawiamy na jedno, dobre miejsce. Najbardziej podoba mi się Las Statui - ścieżka w lesie, gdzie rzeźby sobie stoją na postumentach, zadane niezbyt ładnymi daszkami z blachy falistej.

BURZA NA PUSTYNI

Jeszcze dobrze nie dojechaliśmy do Pustyni Tatacoa, a już jest zjawiskowo. Im bliżej celu tym krajobraz bardziej zachwyca. Postanawiamy przenocować



Jest pięknie, to jest i uśmiech



Maczeta to standardowe wyposażenie podczas spaceru. Bez niej nie ma szans, by przebić się przez gęstą roślinność.



pod namiotami, więc rozstawiamy je, a potem udajemy się na mały spacer po labiryncie wąwozów i skał wyrzeźbionych przez wodę i zmieniających swój kształt przy każdych opadach deszczu. Noc również obfituje w przygody – silny wiatr i potężną ulewę. Ironia losu – największy deszcz wyjazdu łapie nas na pustyni.

Ciąg dalszy artykułu znajdziesz w kolejnym numerze „Road of Adventure”

ADV HOPPERS

ADV Hoppers to międzynarodowa para motocyklistów i miłośników przygód: Agata Dudek i Joris De Poortere. Aktualnie w podróży dookoła świata, której przebieg można śledzić na blogu i w mediach społecznościowych.





EUROPA
RUMUNIA

W DRODZE NA TRANSALPINĘ

PODRÓŻ MOTOCYKLEM DO JEDNEJ Z NAJSŁYNNIEJSZYCH RUMUŃSKICH DRÓG, Z UWZGLĘDNIENIEM KILKU ATRAKCJI, W KTÓRYCH, PRZYNAJMNIEJ MOIM ZDANIEM, NAPRAWDĘ WARTO SIĘ ZATRZYMAĆ.

Tekst i zdjęcia: FREEBIRD RIDER





Monastyr Sucevița - Freski pokrywały niemal całą budowlę, zarówno od zewnątrz, jak i wewnątrz.



Wesoły Cmentarz - nagrobki często przedstawiały smutny los, jaki spotkał zmarłych.

Rumunię odwiedziłem po raz pierwszy w 2018 roku. Wtedy jeszcze jako motocyklowy żółtodziób wyjechałem tam by zobaczyć słynną drogę DN7C zwaną Transfogaraską. Kraj ten spodobał mi się na tyle, że po trzech latach postanowiłem tam wrócić. Ponownie w siodło wiernej Hondy Shadow wyruszyłem do Rumunii, tym razem obierając sobie za cel inną legendarną drogę: 67C, czyli Transalpinę.

Każda z moich podróży ma swój główny punkt, do którego zmierzam, jednak trasę staram się obrać tak, by przy okazji móc zobaczyć, jak najwięcej ciekawych miejsc. Nie inaczej było tym razem. Miałem w planie odwiedzić kilka lokacji, których nie zobaczyłem podczas poprzedniej wyprawy do Rumunii, więc tuż po przekroczeniu granicy udałem się do Wesołego Cmentarza. (koszt wejścia 5 lei rumuńskich (RON), 1 RON = 0,92 PLN)

Cmentarz ten znajduje się na północy kraju, blisko granicy z Ukrainą i słynie z unikatowych nagrobków zdobiących mogiły zmarłych. Są one rzeźbione w drewnie i malowane wieloma kolorami, a każdy z nich przedstawia zmarłego za życia, lub czasem obrazuje chwilę jego śmierci. Grób pasterza upiększa zatem jego wizerunek ze stadem owiec,



drwała przy pracy w lesie, a dziewczynkę potrąconą przez samochód... no cóż, scena jej śmierci w ten właśnie sposób. Kwintesencją Wesołego Cmentarza są nagrobkowe epitafia, które w słowach opisują żywot zmarłego. Wbrew nazwie, jaka przyłgnęła do cmentarza, ukazują one często smutny, tragiczny los pochowanych pod nimi osób. Niestety, przez to, że są w języku rumuńskim, wielu turystom zupełnie umyka prawdziwy wydzwięk tego miejsca. Sam odkryłem go dopiero po powrocie, gdy postanowiłem słowo po słowie odkryć znaczenia opisów. Oto przykłady niektórych z nich:

„Podobało mi się podróżowanie po obcych krajach. Zarabiałem dobre pieniądze. Kupiłem samochód i dowiedziałem się, że nie żyję. Wolałbym żyć, zamiast być chłopcem do zgnicia. Mieć piękną pannę młodą, a nie mieszkać w ciemnym grobie. Żyłem 22 lata”

„Urodziłem się na wsi, gdzie znalazłem pracę. Byłem kierowcą w mleczarni. Byłem przystojnym chłopcem, ale nie miałem szczęścia. Miałem poważną chorobę, która mnie wykończyła. Przybyłem pod ten pomnik i opuściłem życie. Żyłem lat 58.”

„Tu spoczywam, Grigore Maiculi się nazywam. Pracowałem na lotnisku, a później byłem policjantem stanowym oraz burmistrzem. Nieubłagana choroba skróciła moje życie. Opuściłem zasmuconą żonę, która będzie mnie oplakiwać tak długo, jak istnieć będzie świat.”

„Tu spoczywam, Pop Grigore się nazywam. Lubiłem jeździć na traktorze. Ze szkłem gasiłem tęsknotę, bo wciąż byłem zdenerwowany, że ojciec zostawił mnie jako dziecko. Może taki był mój los. Jako młody człowiek zrezygnowałem z życia. Śmierć zabrała mnie w wieku 33 lat.”



Zamek Bran, choć z daleka wygląda interesująco, w rzeczywistości był nieciekawą pułapką czyhającą na portfele turystów.



„Na świecie, póki żyłam, Turda Amuta się nazywałam. Idę do ciebie mamo. Tu mi jeszcze lepiej. Widzę, że nic nie znika. Miałam dwie córki. Niech bóg żyje z nimi i dogląda winogron, które zostawiłam na swojej ziemi.”

Za twórcę „wesołego cmentarza” uznaje się lokalnego artystę Stana Ioana Patrasa, który jako pierwszy wykonał tu rzeźbiony, kolorowy nagrobek z opisem. Miało to miejsce w 1935 roku i przez cały swój żywot wykonał prawie 700 nagrobków. Co ciekawe przed śmiercią wyrzeźbił także własny nagrobek z epitafium! Jego ciało także spoczywa na tym cmentarzu. Obecnie kontynuatorem twórczości Stana Patrasa jest Dumitru Pop Tincu.

Pogoda w Rumunii bywa kapryśna i tuż po zwiedzeniu cmentarza wpadłem w trzy dni deszczowej pogody. Nauczony doświadczeniem z poprzedniej wizyty w tym kraju, tym razem nie zamierzałem suszyć ciuchów, i szybko przyodziałem kombinezon wodoodporny. Deszcz nie przeszkodził mi również w zwiedzeniu kolejnych miejsc. Jednym z nich był Monastyr Sucevița (wejście 10 RON). Powstał on w XVI wieku i słynie ze swoich malowideł ściennych, które pokrywają



Zamek Bran - Drakuli niestety nie spotkałem

większość murów i są świetnie zachowane. To jedno z ostatnich takich miejsc w Europie. Ilość różnorodnych fresków zdobiących świątynie robi wrażenie.

Następnym punktem mojej trasy był Przełom Bicz. Jest to wąwóz o długości ok. 8km, którego dnem poprowadzona jest droga. Wysokie, pionowe, kamienne ściany otaczające szosę dają fajne wrażenie podczas jazdy, jednak ten odcinek ma nie więcej jak trzysta metrów. Dalsza część wąwozu to po prostu zwykłe górskie zbocza pokryte gęstym lasem, więc przynajmniej z punktu widzenia motocyklisty,

nie daje wielkich wrażeń widokowych i nie różni się zbyt od innych zwykłych górskich dróg w Rumunii.

Przemierzając się dalej na południe kraju, odwiedziłem jeden z najbardziej znanych rumuńskich zamków, jakim był zamek Bran (wejście 45 RON). Reklamowany jest on jako dawna siedziba słynnego Drakuli. Promocyjne slogany nie do końca miały swoje przełożenie na rzeczywistość. Począwszy od samego Drakuli, zaznaczyć trzeba, że pierwowzór tej książkowej postaci, czyli słynny Wład Palownik wcale nie miał tam swojej siedziby, a historyczne zapiski świadczą, że na zamku spędzić mógł zaledwie kilka dni. Reklamowanie zamku Bran jako „siedziby Drakuli” jest niczym innym jak tylko prostym chwyt marketingowym. Niestety ten zabieg był chyba konieczny, ponieważ poza doczepianą historią zamek ten nie ma zbyt wiele do zaoferowania turystom. Choć z daleka prezentował się on całkiem okazale, a wysokie mury wyrastające ze strzelistego kamiennego wzniesienia wyglądały interesująco, to jednak w oczy rzucały się oblepione współczesnym tynkiem ściany, co ujmowało Bran sporo ze starodawnego klimatu. Nie inaczej było





Wąwóz Biczaz



Bajecznie piękny pałac Peles



Transalpina - gdzie nie spojrzec,
wspaniałe, zielone góry.



Transalpina - momentami trasa była skąpana w chmurach



Raj dla motocyklistów...



starodawny wygląd, a w Bran miałem wrażenie, że zrobiono to po jak najmniejszej linii oporu.

Tak jak zamek Bran okazał być się turystyczną pułapką, tak leżący 50 km dalej XIX wieczny pałac Peles oczarował mnie swoim iście baśniowym wyglądem (wejście 40 RON). Piękne mury wzbogacone niezliczoną ilością wszelkiej maści zdobień przyprawiłyby o zawrót głowy niejednego fanatyka architektury. Jeszcze większa magia zaczęła się po wejściu do wnętrza. Tam dosłownie oniemiałem z wrażenia! Tak pięknych pomieszczeń nie widziałem nawet w filmach! Nawet nie będę próbował wymieniać nazw zobaczonych tam stylów dekoracji ścian czy eksponatów, bo do tego potrzebna byłaby cała encyklopedia sztuki. Jedynym minusem były dodatkowe, całkiem spore opłaty za możliwość robienia zdjęć wewnątrz pałacu (60 RON), oraz zwiedzanie drugiego poziomu (40 RON). Ja skorzystałem z najtańszej opcji, czego w sumie później żałowałem.

Czas udać się do celu mojej wyprawy, jakim była wspomniana na początku droga 67C, czyli Transalpina. Rozciąga się ona na dystansie

prawie 150 km i przecina pasmo górskie Parâng w Karpatach Południowych, a wysokość, jaką osiąga na przełęczy Urdele (2145 m n.p.m.), czyni ją najwyższą położoną drogą w Rumunii.

Trasa prowadzi pośród rozległych górskich krajobrazów, które gdziekolwiek nie spojrzę nasyciły moje oczy swoim pięknem i zieloną barwą. W przeciwieństwie do rumuńskiej siostry – Transfogaraskiej, Transalpina zdaje się spokojniejsza i łatwiejsza do jazdy. Brak tu nagłych, stromych wzniesień, które pokonać trzeba sporą liczbą serpentyn. Droga sprawia wrażenie bardziej rozłożystej, nie przeskakuje nagle przez góry, lecz nieśpiesznym krokiem oprowadza po nich. Z jednej strony jest mniej spektakularnie, adrenalina jest tu podawana w niewielkich dawkach, jednak z drugiej strony takie ułożenie trasy pozwala dłużej cieszyć się jazdą i napawać majestatem Karpat. Transalpina to rumuński raj dla motocyklistów oferujący niezapomniane doznania. Przejazd tą trasą był zdecydowanie najmilszym przeżyciem podczas wyprawy po Rumuńskim lądzie. Nie był jednak ostatnią atrakcją, jaką miałem okazję zaliczyć podczas wizyty w tym kraju,

wewnątrz, gdzie wygładzone, białe ściany zabijały średniowieczny potencjał budowli. Choć te pochodzące z XIV wieku mury z pewnością wymagały renowacji, to jednak widywałem wiele zamków, które mimo współczesnej odnowy potrafiły zachować





EUROPA

RUMUNIA

ponieważ dzień później odwiedziłem jeszcze kopalnię soli Turda (wejście 60 RON).

Kopalnia wyglądała niesamowicie i przeniosła mnie w niezwykle podziemny świat. W ogromnych, wysokich na kilkadziesiąt metrów szybach kopalnianych stworzono coś na kształt wesołego miasteczka. Znajduje się tam między innymi wielki diabelski młyn, boisko, stoły bilardowe, tory do minigolfa, plac zabaw, a nawet podziemne jezioro, po którym można popływać łódką (niestety większość z tych atrakcji jest dodatkowo płatna). Magii całej kopalni nadawały liczne lampiony, które zwisając

ze sklepienia, rozświetlają cały kompleks.

Wspaniale było znów podróżować po Rumunii, nawet pomimo kiepskiej pogody, która dała o sobie znać w pierwszych dniach wyprawy. Ten kraj dalej zadziwia mnie swoim klimatem, zwłaszcza w terenach wiejskich, gdzie na drogach częściej zobaczymy konie niż ciągniki. Ludzie są mili i pomocni, górskie krajobrazy urzekają pięknem, a mnogość wszelkiego rodzaju atrakcji, jakie wedle własnego upodobania mogłem wybrać podczas wędrowki, sprawiła, że nie nudziłem się nawet przez chwilę.



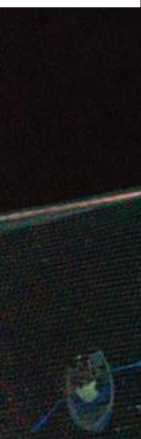
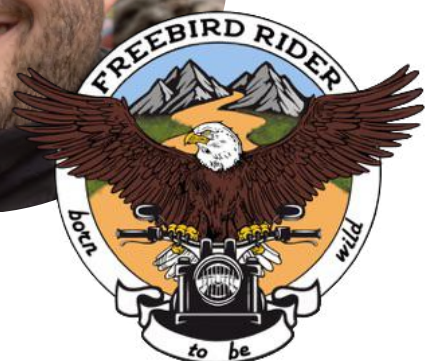
Kopalnia soli Turda, niezwykle podziemny świat

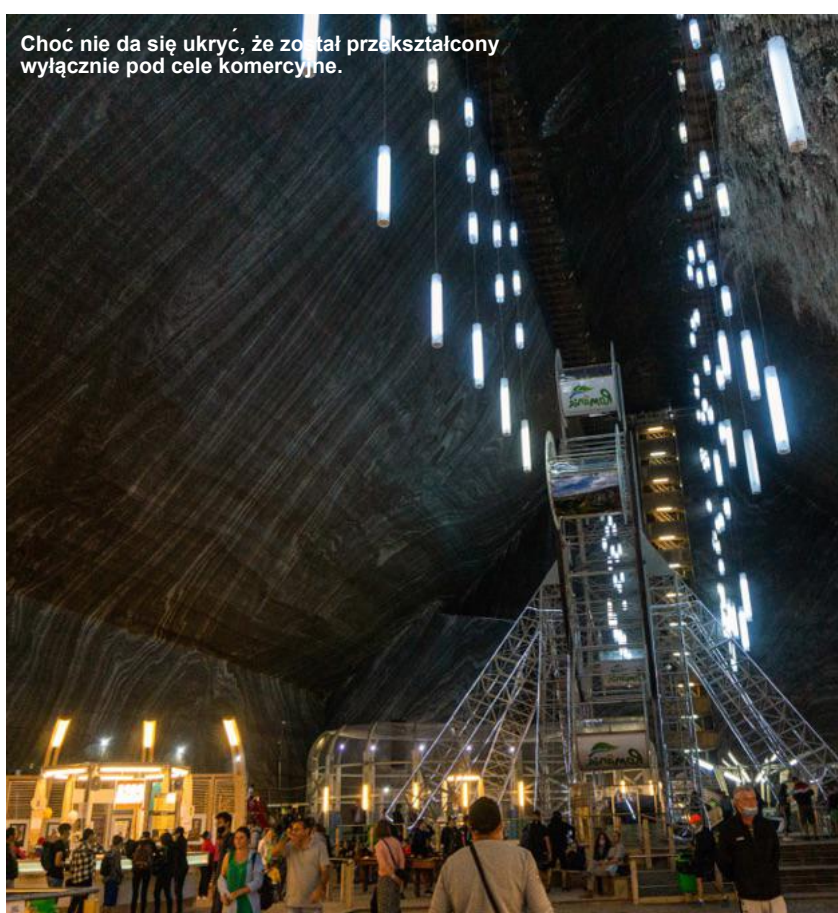


W Rumunii oficjalnie nie można nocować na dziko, jednak przepis ten jest tu uznawany za martwy, więc bez większych obaw można rozbić namiot. Trzeba jednak uważać na dzikie psy i niedzwiedzie.

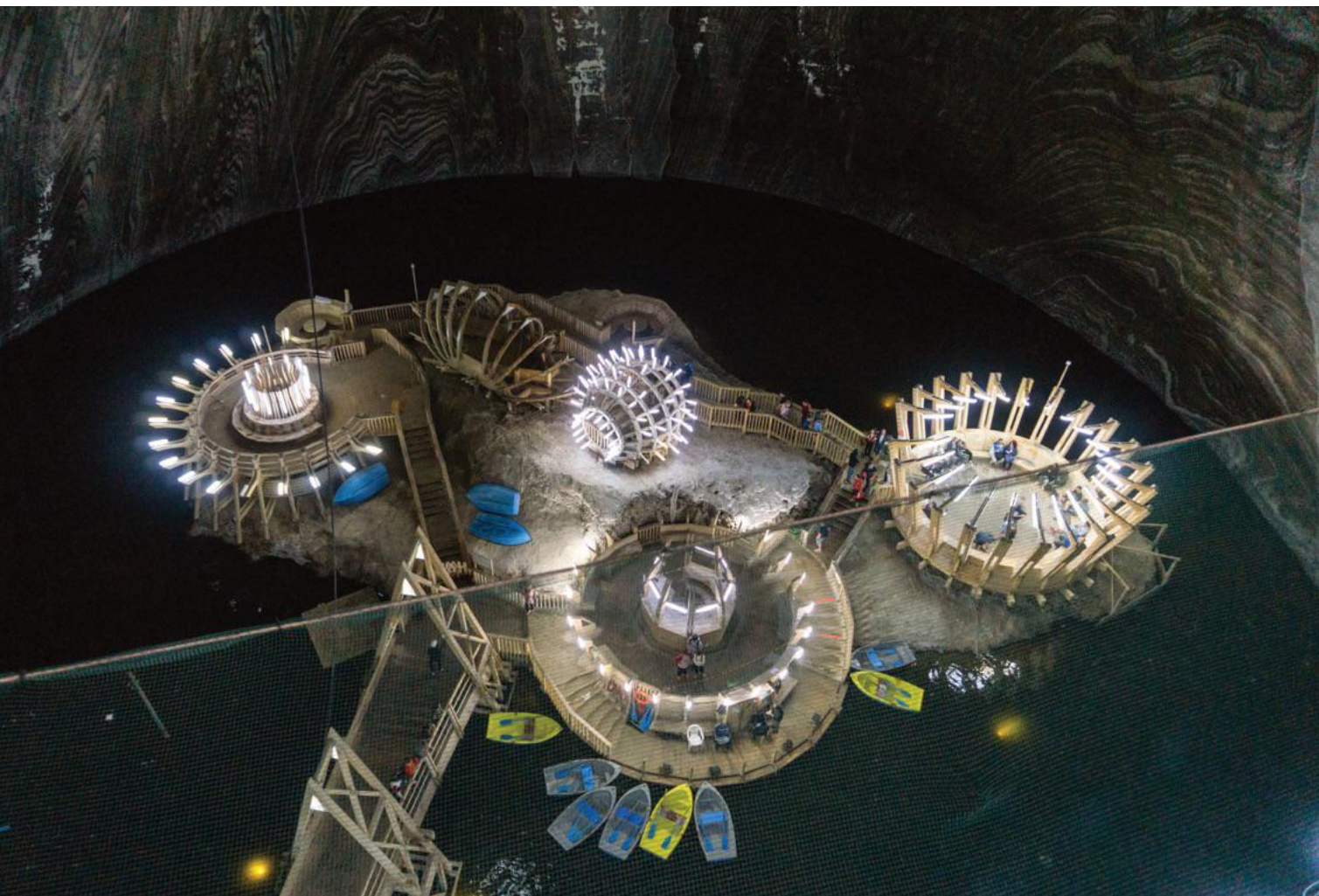
FREEBIRD RIDER

Pod tym pseudonimem w internetowym świecie skrywa się Paweł Nowak, 29-letni pasjonat samotnych podróży. Na swoim blogu chętnie dzieli się relacjami ze swoich wojaży po Polsce i Europie.





Choć nie da się ukryć, że został przekształcony wyłącznie pod cele komercyjne.





EUROPA

KOSOVO



BAŁKAŃSKA EKSPEDYCJA OFFOWA

WYJAZD, NA KTÓRY DŁUGO CZEKAŁEM I KTÓRY STAŁ POD WIELKIM ZNAKIEM ZAPYTANIA, ZE WZGLĘDU NA SYTUACJĘ ŚWIATOWĄ I OSOBISTĄ.

Tekst i zdjęcia: WOJCIECH BORKOWSKI





EUROPA

KOSOWO

Kierunek niecodziennie obierany przez motocyklistów.

Niecodziennie obierany asfaltowo, a w mojej ocenie, praktycznie, nieodkryty bezdrożami. Wybrałem się w trzytygodniową podróż moją Africą Twin, której Kosowo było nieodzowną i praktycznie główną częścią.

Byłem tam już motocyklem kilkakrotnie i zdarzyło mi się go nazywać moim drugim domem. Tym razem Kosowo sprawiło, że zdecydowanie był to najbardziej ekstremalny wyjazd motocyklowy, na jakim kiedykolwiek byłem.

Podróż rozpocząłem samotnie, reszta ekipy miała mniej czasu wolnego ode mnie, a nie zamierzałem tracić urlopu na nie jeżdżenie motocyklem, więc odwiedziłem po raz kolejny Rumunię, ale nie o tym tutaj mowa...

Przed wyjazdem udało mi się zmniejszyć swój bagaż praktycznie dwukrotnie, co spowodowało, że zajmował jedynie 56,5L plus mały plecak z camelbakiem. Dla zaspokojenia ciekawości dodam, że mój ekwipunek uwzględniał pełny sprzęt campingowy razem z



W niektórych miejscach śnieg leży bardzo długo

namiotem, śpiworem, materacem, kuchenką gazową, kompletem narzędzi i dosłownie wszystkim, aby poradzić sobie w podróży w pojedynkę.

Po kilkudniowej samotnej tułaczce miałem spotkać się z ekipą w Serbii. Ze względu na drogi roamingu, po przekroczeniu granicy wyłączyłem transfer danych, co w teorii mogło utrudnić nam odnalezienie się. Na szczęście reszta paczki zabrała ze sobą telefon satelitalny, dzięki czemu znałem ich dokładną pozycję.

Bezproblemowo spotkaliśmy się przed zachodem słońca. Po gorących uściskach, masie wymienionych żartów i uśmiechów, obraliśmy



Jak to gdzie jechać? Przed siebie!



Przekraczanie takich rzek było na porządku dziennym



EUROPA
KOSOVO



Czasami zastanawialiśmy się czy jedziemy w poprzek, czy wzdłuż koryta rzeki.



Jakieś straty muszą być! Jak nie w ludziach, to w sprzęcie



Niektóre podejścia były zbyt strome nawet dla samych kierowców

kierunek na zachód w celu dotarcia do granicy z Kosowem. W sumie było nas dziesięcioro, dziewięciu facetów i żona jednego z bandy - Ewelina. Ze względu na dość pokaźną paczkę oraz późną porę, postanowiliśmy spędzić noc po serbskiej stronie granicy. W celu znalezienia noclegu mocno zboczyliśmy z głównej drogi w lasy, pola, drogi gruntowe i szutrowe.

Gotowi już rozbić obóz, nagle na drodze spotkaliśmy myśliwych lub kłusowników, prawdopodobnie pijanych i wyposażonych w długą broń palną - miejscowa spalona. Pomimo barier językowych udało nam się chwilę „pożartować”, spokojnie odjechać kilka kilometrów

dalej i rozbić obóz dosłownie w jakichś krzakach.

Przygoda rozpoczęła się tak naprawdę kolejnego dnia... Wstaliśmy rano, zwinęliśmy majdan i pojechaliśmy w stronę granicy. Przekroczyliśmy ją bezproblemowo, chociaż zajęło nam to trochę czasu. Głównie przez duży ruch oraz konieczność wykupienia dodatkowego ubezpieczenia OC na teren Kosowa. Obowiązuje ono każdy pojazd, trzeba je wykupić na granicy i kosztuje około 10 EUR.

Po załatwieniu formalności zatankowaliśmy motocykle i sprawnie zboczyliśmy w offroad, rozpoczynając naszego tracka. Trasa była

autorska, ze względu na niepewność mojego uczestnictwa w wyjeździe niestety nie brałem udziału w jej tworzeniu, ale reszta ekipy spisała się książkowo. Trasa została stworzona na podstawie satelit, map OSM i pewnie jeszcze kilku innych źródeł. W celu ułatwienia poruszania się tak dużą paczką podzielił się na kilka małych grup, gdzie każda nawigowała się tym samym śladem GPX i po prostu spotykaliśmy się na trasie lub obozach, albo i wcale... :D

Od tego momentu zaczęliśmy krążyć offem po Kosowie. Początkowo pogoda nas nie rozpieszczała, bo praktycznie od dwóch dni ciągle padało. Na szczęście drogi były mocno kamieniste, więc deszcz znacząco nie wpływał na przyczepność. Ze względu na ciężkie warunki niektóre etapy trasy objeżdżaliśmy asfaltami. Po pewnym czasie zacząłem mieć problem ze stopką boczną, która mocno się wygięła. Próbowałem ją naprawić w lokalnym warsztacie... co pomogło to tylko na chwilę. Podczas wizyty zapytałem localsów, czy mają rakiję - odparli, że nie, ale zaprosili mnie do swojego Mercedes, proponując pomoc i podwózkę do lokalnego źródła. Jak się okazało, wyszło nawet lepiej - mój kierowca dał nam miejscowy alkohol w prezencie. Niestety naprawa stopki nie przebiegła pomyślnie i od tego momentu musiałem wskakiwać i zsiadać na motocykl w biegu, co było świetną okazją do treningu balansu.

Starając się jechać głównie offem, okrążyliśmy północną część Kosowa, którego miejscowa natura jest po prostu niezemska. Podczas tej podróży przeżyłem chyba najbardziej ekscytujący dzień motocyklowy w moim życiu. Wjeżdżając na szczyt góry, musieliśmy przejechać przez głęboki i rwący potok. Wszystkim poszło sprawnie,



EUROPA

KOSOWO



Obozowa codzienność

ale po wjechaniu na górę okazało się, że na wysokości 1900 m n.p.m. jest jeszcze dużo śniegu, który blokuje przejazd. Musieliśmy zawrócić. Wracając, przewróciłem motocykl w potoku, który już raz stanowił dla mnie wyzwanie.

Na szczęście nie zalałem motocykla, ale w sekundę stałem się cały mokry. W momencie, gdy to się stało, nie wiedziałem, że będzie to

dopiero nudny początek historii... Po ogarnięciu siebie i afry zjechaliśmy niżej. Okazało się, że droga, którą wjechaliśmy, była czynnym osuwiskiem i już nie istniała... Spływające roztopy po prostu odcięły nam zjazd w dół. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy się jakoś przebić, ale spędziliśmy tam masę czasu, poniekąd ryzykując własnym zdrowiem... Ten dzień na szczęście skończył się pomyślnie i był niesamowity.

Kosowo jest po prostu piękne, choć czasem było dosyć wymagające. Afryka dzielnie znosiła podróż, ale nie brakowało jej wrażeń. Na początku pękł mi uchwyt od ciężaru nawigacji, potem złapałem gumę, a na koniec okazało się, że prawdopodobnie od brodów rzecznych mam padnięte łożyska w obu kołach. Na szczęście z pomocą lokalsów, którzy są po prostu wspaniali, szybko udawało się



rozwiązywać takie problemy.

Podczas pokonywania jednej z przełęczy uszkodziłem dekiel silnika kamieniem, skutkiem czego był wyciekający olej. Pękniętą pokrywę silnika zakleiliśmy sprytnie poxilina, dosłownie pośród niczego. Zabieg przebiegł pomyślnie, aczkolwiek po spokojnym przemyśleniu sprawy oraz ze względu na okoliczności, postanowiłem odłączyć się od grupy. Uznałem, że drobna parkingówka w ofie mogłaby mi dobić powstałą w silniku ranę i uziemić mnie gdzieś w górach... Podróż dokończyłem samotnie, plątając się jeszcze 6 dni asfaltem po drogach Albanii, Kosowa i Macedonii, a co było zabawne, na jednym z postojów oparzyłem sobie czoło zaglądając pod motocykl, czy nie cieknie mi olej. :D

Ten wyjazd był dla mnie niesamowitą przygodą. Oprócz pięknych widoków, wszystkie sytuacje urozmaiciły wyjazd i dodały ducha



Naturalna, prawie prywatna, łazienka na wysokości 1500 m n.p.m.



EUROPA

KOSOWO

podróży, przekonując mnie tylko, że nie ma sytuacji, z której nie da się wybrnąć. Mieszkańcy Kosowa są bardzo pomocni, mili, uczynni i nie chcieli jakichkolwiek pieniędzy za pomoc, mega mocno wspierając podróżników. Uwielbiam ten naród! Wracając do domu, udało mi się obalić mit - potwierdzam, że można wjechać do Serbii z Kosowa, gdy wjechało się do Kosowa z innego kraju niż Serbia.

Sumarycznie w trasie spędziłem 19 dni, podczas których przejechałem 5200 km! 10 dni spędziłem samotnie, pokonując 3900km. Pozostałe 9 w towarzystwie wymienionej ekipy, przemierzając najgłębsze zakamarki Kosowa i Albanii, które można zobaczyć tylko



No i koniec zabawy!



Błotniku były całe zaklejone gliną

sprzętem enduro! Wielkie dzięki dla całej ekipy, świetne towarzystwo i cudownie spędzony czas! Spanie na dziko, kąpiele w potokach, pranie w rzekach. Zdecydowanie był to mój najlepszy wypad motocyklowy do tej pory! Wymagający teren i świetne widoki!



WOJCIECH BORKOWSKI

Wojciech Borkowski, dla każdego po prostu Borek. W siodle od 2012 roku. Motocykl to całe jego życie. Jeździ i trenuje na ciężkim turystycznym enduro, czyli swojej ukochanej Afrze. Spontaniczne samotne tripy, spanie na dziko, kąpiele w rzekach, gotowanie na ognisku i nigdy niekończąca się tułaczka. To wszystko, co najbardziej kocha w podróżowaniu motocyklem. :)





EUROPA

UKRAINA

JESZCZE NIEODKRYTA UKRAINA - KARPATY I ODESSA

WSCHÓD TO KIERUNEK, KTÓREGO WIELU SIĘ OBAWIA, A DLA MNIĘ OD ZAWSZE BYŁ NAJBARDZIEJ EKSCYTUJĄCYM I CIEKAWYM CELEM PODROŻY.

Tekst i zdjęcia: MONIKA CZERNIEJEWSKA



Kod



EUROPA

UKRAINA

Pomysł na wypad na Ukrainę zrodził się podczas pierwszej wizyty w tym kraju w 2019 roku kiedy Ukraina była tylko częścią tranzytu prowadzącego mnie na Pamir. Już wtedy wiedziałam, że muszę tu wrócić. Marzyły mi się karpacie. Jeszcze dzięki i pełne miejscowego folkloru no i jeden dzień na plaży nad morzem czarnym :) Dodatkowo nad takim tripem przemawiały dwa bardzo ważne plusy: jest tam relatywnie tanio + co najważniejsze (!) jest pyszne jedzenie :)

Jeśli chodzi o przekroczenie granicy z Ukrainą to zawsze wszystko przebiegało bardzo sprawnie, bez większych kolejek, nawet tym razem mimo covid (szczepienia/testu) i potrzeby dodatkowego ubezpieczenia to wszystko pokazałam na telefonie i całe przejście granicy trwało może z 10 minut. Granicę przekraczałam



Campingowy poranek



w Krościenku. Zaraz za granicą po prawej stronie za dużym drzewem stoi Pani, u której można wymienić kasę po bardzo dobrym kursie (sprawdzone info od znajomego). Tak też zrobiłam :) Ukraina przywitała mnie pięknym zachodem słońca i nowym asfaltem prowadzącym praktycznie do samego Truskawca gdzie spałam.

Bez kolejek, przekraczanie granicy, to prawdziwa przyjemność



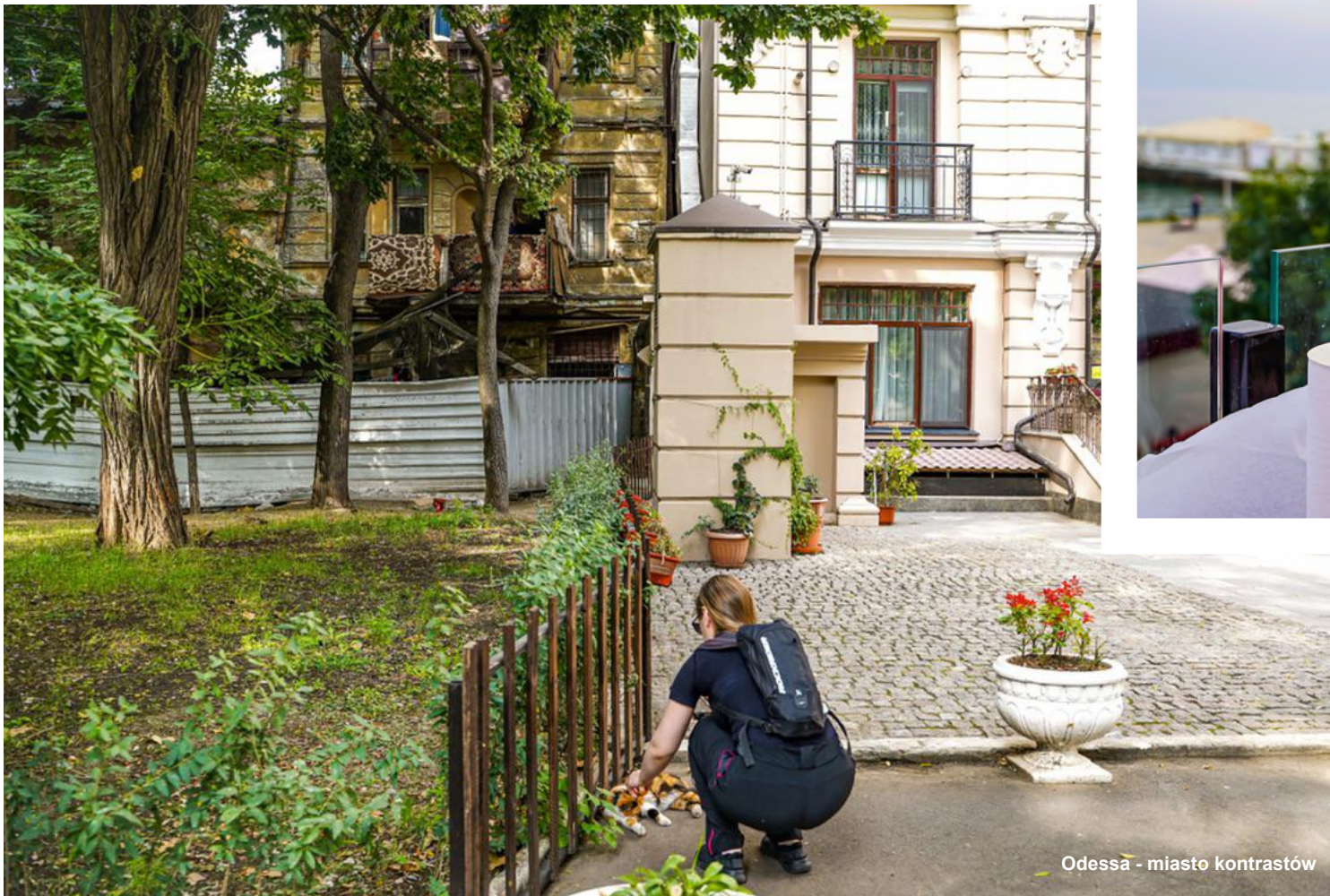
Wkurzenie i zmęczenie widoczne nawet na zdjęciu ;)



A tak sobie leżę i podziwiam widoki



Odessa - Arcadia Beach



Odessa - miasto kontrastów

DOBRY OFFROAD NIE JEST ZŁY

Jadąc w karpaty nie planowałam jakoś trasy wcześniej stwierdziłam, że tam gdzie będzie fajnie i będą fajne widoki tam się wjedzie. Myślałam, że zakończy się to na lekkich szuterkach i delikatnym offie. Jak bardzo się myliłam :) Fakt, fajne tracki zaczynały się przyjemnymi szutrami gdzie można było spokojnie oglądać się na boki i podziwiać dzikie górskie krajobrazy, jednak później droga się kończyła i zaczynały się bardzo wymagające odcinki jak na moje ciężkie moto. Wiecie jak to jest, nigdy nie chce się wracać tą samą drogą i człowiek brnie dalej. Jechaliśmy na dwa motocykle także mogłam pozwolić sobie na lekkie szaleństwo i ewentualne gleby. Było bardzo dużo stromych zjazdów i podjazdów, wymagające głębokie koleiny. Plusem było to, że było sucho. Czasami



Luksus dla mnie to dobre jedzonko i pełna flaszka

trzeba było przejechać jakąś mini rzeczku, ale to sama frajda. Trasy w większości prowadziły wzdłuż rzek i tylko od czasu do czasu pojawiało się kilka domków lokalsów lub małe miejscowości. Było też sporo opuszczonych małych domostw i drewnianych

domków. W jednym znalazłam bardzo stare zdjęcia, super było zobaczyć jak to kiedyś wyglądało. Widoki były przepiękne, zielono, górzysto i dziko. Warto było się pocić na tych trudnych odcinkach, żeby zobaczyć z góry te wszystkie doliny i opuszczone miejsca.

ODESSA - MIASTO KONTRASTÓW

Ogólnie nie lubię zwiedzać dużych miast, zdecydowanie wolę naturę i unikam dużych metropolii przy motocyklowych wyjazdach. Jednak jakoś ciekawiło mnie to jak wygląda Odessa i jej wybrzeże. 2 dni były w zupełności wystarczające. Dodatkowo jak to na każdym wyjeździe to był ten czas by przeprać gacie by starczyło na powrót i to była dobra okazja ;) Miasto jak miasto, duży ruch, sporo ludzi. Jednak czuć, że to wschód. W samym centrum miasta pomiędzy biurkami wysypana co najmniej tona arbuźów na chodnik i sprzedaż trwa w najlepsze.



EUROPA

UKRAINA

Miasto ogromnych skrajności. Z jednej strony w samym centrum miasta odpicowane kamienice przy samej operze, a zaraz za nimi kamienica jak ze slumsów. Dużo kiczu i tandety, a zaraz obok fancy knajpki. Fajnie było to zobaczyć na żywo, dodatkowo zjeść tanio dobre jedzonko i napić się drinka za każdym rogiem po 10 zł. Samo centrum Odessy nie jest bardzo duże. Dodatkowo pojechałam też zobaczyć najbardziej słynny odcinek plaży w Odessie - ten "impresowy" z parkiem rozrywki. Tam niestety było jeszcze więcej kiczu i tandety, ale miało to jakiś swój urok. To tak jak z krupówkami, jedni kochają inni nienawidzą :) Po dwóch dniach picia drineczków i obżerania się ukraińskimi pysznościami trzeba było wrócić na moto. Byłam pewna, że popłażuję sobie w Odessie chociaż troszkę, jednak plaża była beznadziejna, bruda i bardzo zatłoczona, dlatego pojechałam już w stronę

Rumunii i tam znalazłam fajne miejsce do chillowania :) Było dużo meduz i ciekawskich dzieci, woda nie była zbyt ciepła, ale mimo wszystko było fajnie i inaczej niż zwykle nad moim ukochanym adriatykiem.

CZY WARTO ODWIEDZIĆ UKRAINĘ?

Pewnie dużo z Was pomyśli sobie, że jest dużo fajniejszych miejsc na świecie od Ukrainy. Zdecydowanie tak, macie rację, jednak o wyjątkowości miejsc, w które jeździmy nie świadczy tylko ich piękno, ale atmosfera i ludzie. Ukraińcy są bardzo przyjaźni i empatyczni. Oczywiście, że pewnie dużo konwersacji zaczyna się z powodu mojej płci i zdziwienia, że jeżdżę motocyklem. Jednak mimo wszystko są dużo bardziej otwarci i empatycznie nastawieni do obcych :) To jest bardzo fajne! Dodatkowo czas tam jakby wolniej płynął. Po prostu chce się tam być i wracać.

WSKAZÓWKI

Czym płacić? - jeśli zjeżdżacie z głównych tras to tylko lokalna waluta, ale przy głównych trasach można na luzie wszędzie płacić kartą. Gdzie jeść? - najlepiej w przydrożnych barach. Jest najsmaczniej i najtaniej. Jedźcie tam gdzie jest dużo lokalsów albo tirowców :)

MONIKA CZERNIEJEWSKA

Monika z MotoHero - pozytywnie szajbnięta motocyklista, która od 10 lat przemierza świat na motocyklu. Uwielbia zjeżdżać z asfaltu by odkrywać dzikie miejscówki. Kocha naturę i dzikie campingi nad wodą. Plan na najbliższe lata - jak najszybciej wyjechać w podróż dookoła świata! Więcej zdjęć i relacji znajdziecie w jej profilach na mediach społecznościowych.



Tanio i przepysnie...

Barszczyk ukraiński i pielmieni mogłabym jeść codziennie! Przykładowo za 2 barszcze z chlebem, słoniną i czosnkiem plus jedna porcja pielmieni z mięsem i duża woda kosztowała 24 zł. Gdzie spać? - Namiot, przydrożne noclegi, hotele/pensjonaty z bookingu. Przykładowy nocleg w bardzo dobrym standardzie w centrum miejscowości Truskawiec - 64 zł za pokój dwuosobowy. Internet? - najlepiej kupić lokalną kartę sim i z tego telefonu robić hotspot na inne urządzenia. Ja kupiłam SIM z nielimitowanym internetem za jakieś 50 zł.



Plaźowi przyjaciele



Jak można nie zrelaksować się w takim otoczeniu?





OCEANIA

NOWA ZELANDIA



ZDAŹYĆ PRZED ZAMKNIĘCIEM ŚWIATA

FIORDY - CHOĆ TO NIE NORWEGIA. LODOWCE, NIE W ARKTYCE. GEJZERY, ALE NIE NA ISLANDII. JEDEN Z BARDZIEJ ZNANYCH PLENERÓW FILMOWYCH, INNY NIŻ HOLLYWOOD. WRESZCIE, NIEZLICZONE ZAKRĘTY Z BAJECZNYMI WIDOKAMI W „NIE EUROPEJSKICH ALPACH”. TO WSZYSTKO W PAŃSTWIE O POWIERZCHNI MNIEJSZEJ NIŻ ZAJMUJĄ WŁOCHY.

Tekst i zdjęcia: MAŁA I DUŻY W PODRÓŻY



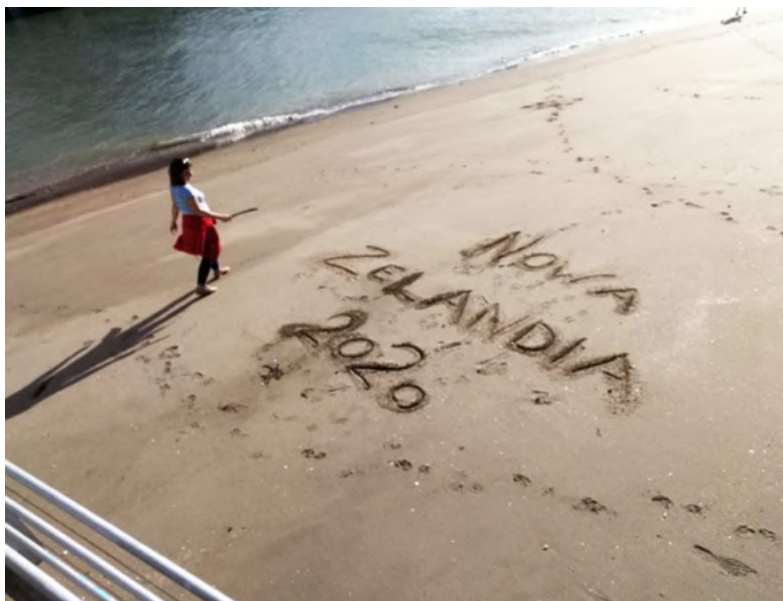


OCEANIA

NOWA ZELANDIA

Nowa Zelandia marzyła nam się bardzo długo. Ponieważ należymy do tych, co raczej działają, niż marzą, w wakacje 2019 roku postanowiliśmy zrealizować nasze plany o podróży na antypody. Zaczęliśmy rozglądać się za biletami lotniczymi czy też zbierać informacje dotyczące wypożyczalni motocykli, bo właśnie w taki sposób chcieliśmy zwiedzić wyspy. Zasięgaliliśmy języka, co trzeba zobaczyć, gdzie pojechać. Trzy tygodnie, które mieliśmy zamiar spędzić w Nowej Zelandii, to zdecydowanie za mało, aby poznać ten kraj. Przez ten czas da się go najwyżej „liznąć”.

Na początku lutego 2020 roku, mniej niż dwa tygodnie przed naszym wylotem światem zaczęła rządzić covidowa gorączka. Patrzyliśmy z



rosnącym niepokojem, jak rozwija się sytuacja. Tydzień przed wylotem okazało się, że Nowa Zelandia nie przyjmuje turystów, którzy choćby małym palcem na mapie dotknęli rejonu Chin. A na naszych

biletach port przesiadkowy to Hong Kong. Koniec, nie ma, nie da się – linie lotnicze odwołują loty, zmieniają trasy. Patrzymy w przerażeniu jak owoc naszej półrocznej pracy zaczyna ulatywać niekoniecznie z nami na pokładzie ... Po szybkiej naradzie ustaliliśmy – kupujemy nowe bilety i lecimy. Jeśli nie pójdziemy za ciosem, może się okazać, że kolejna okazja może się długo nie powtórzyć. Zmianie ulegają nie tylko loty samolotem, ale również kierunki świata, w których lecimy, aby dotrzeć do celu. Zamiast Pragi jest Zurych, Hong Kong zmieniamy na Chicago, a w trasie powrotnej przywitamy się z ... Japonią. Okrążymy całą kulę Ziemi, ale lecimy!

Po około 45 godzinach podróży stajemy na nowozelandzkiej ziemi.



Sky Tower w Auckland naprawdę robi ogromne wrażenie.

Jesteśmy w czwórkę – panowie dostają BMW GS750, a ja pocziwą Hondę Rebel 500. Zobaczcie po prawej jak wygląda prawdziwy motocykl



Droga do Milford Sound, zamknięta z powodu osunięcia jezdní po ulewíe





OCEANIA

NOWA ZELANDIA

Góra Cooka, najwyższy szczyt Nowej Zelandii, 3724 metrów n.p.m.



Taranaki - czynny wulkan o wysokości 2518 metrów n.p.m.

Różnica czasu pomiędzy Polską i Nową Zelandią wynosi równo 12 godzin. W Auckland jest dzień i aby przezwyciężyć „jetlag” niemal siłą wypychamy się nawzajem na zwiedzanie. Zaczynamy od Sky Tower - najwyższej wieży w Nowej Zelandii, aby z wysokości 300 metrów podziwiać panoramę miasta. Później objeżdżamy piętrowym autobusem najważniejsze punkty turystyczne i z niecierpliwością czekamy na kolejny dzień. Jest on dla nas ważny, ponieważ przemieszczamy się na wyspę południową do Christchurch - miasta, skąd weźmiemy motocykle i to tam, naprawdę, zacznie się nasza przygoda.

PARKI NARODOWE

Nowa Zelandia posiada 14 parków narodowych o łącznej powierzchni 30 tys. km², co stanowi około 10% całej powierzchni kraju. Pięć z nich jest wpisane na listę UNESCO. Większość usytuowana jest na wyspie południowej – według nas bardziej zielonej, bardziej dzikiej. Każdy dzień zaplanowaliśmy tak, aby przejechać około 250-300 km, w zależności od rejonu. Ruch lewostronny w pierwszej chwili



Półwysp Banksa, utworzony z kraterów wulkanicznych, zalanych obecnie wodami oceanicznym

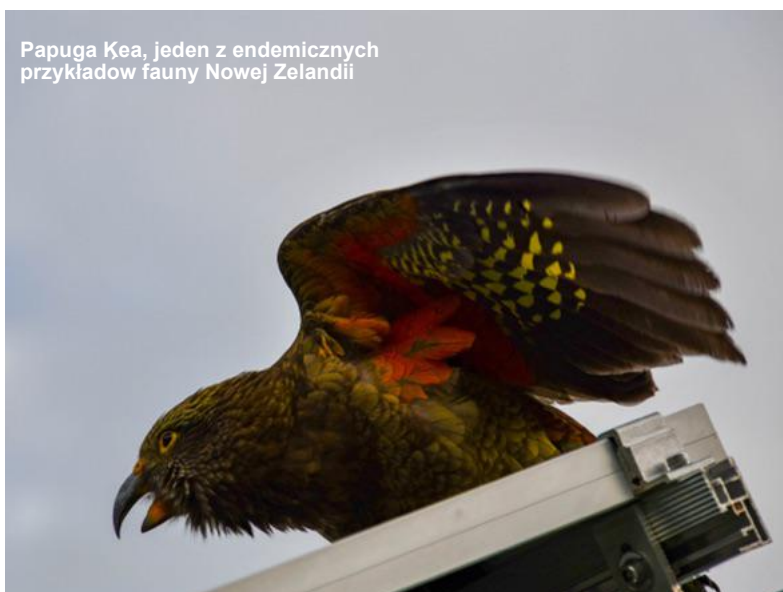
nas sparaliżował, ale z każdym przejechanym kilometrem zmiana stron nie robiła na nas wrażenia. Jednym z pierwszych parków był Arthur's Pass National Park, przedzielony drogą 73, zwaną Wielką Drogą Alpejską. Głowy odwracają nam się raz po raz, a widoki zapierają dech w piersiach. Jedziemy w kierunku kolejnego parku - Fiordland National Park. Chcieliśmy zobaczyć zatokę Milford Sound. Kilka dni przed naszym przylotem przez ten obszar przeszły gwałtowne burze, które spowodowały, że jedyna droga do zatoki

osunęła się o ponad metr i stała się nieprzejezdna. Musieliśmy się obejść smakiem.

Park Narodowy Góry Cooka, kolejny na trasie, wziął swoją nazwę od najwyższej góry w Nowej Zelandii. Przyjechaliśmy na pole campingowe zlokalizowane tuż przy drodze na szczyt i zobaczyliśmy stado papug Kea, endemicznych ptaków kontynentu. Ptaki są zmorą turystów - ostrymi dziobami urywają uszczelki w samochodach, wyginają anteny samochodowe. Patrzyliśmy jak z jednego kampera co chwilę wychodziła dziewczyna i kijem od miotły odganiała papugi. Powiedziała, że chwila nieuwagi czy uchylone okno sprawiają, że papugi wchodzą do środka i urządzają totalną demolkę. Zauważyliśmy, że szczyt góry pokryty był dziwnie wyglądającym śniegiem. W późniejszych rozmowach dowiedzieliśmy się, że brązowy nalot na śniegu to popioły przywiane z Australii, którą chwilę wcześniej trawiły pożary.

Podczas jednego z kawowych postojów rozkładamy mapę i próbujemy zlokalizować nasze położenie. W pewnym

Papuga Kea, jeden z endemicznych przykładów fauny Nowej Zelandii





OCEANIA

NOWA ZELANDIA



Park Narodowy Rotorua - gejzery geotermalne



Whangamomona, hotel z 1902 roku na trasie Forgetting Road





Złot zabytkowych samochodów amerykańskich

lusterkach, gdy już zrezygnowani wracaliśmy na główną trasę.

Jadąc na nocleg trafiliśmy na lokalne święto – zlot starych amerykańskich samochodów. Zamknięte miasteczko odświętnie przystrojone i setki wypucowanych bryk, których wygląd przyprawia o zawrót głowy.

Siedząc w domu i planując trasy, nie da się przewidzieć niespodzianek. Droga przez kolejny park narodowy zwana „Forgotten World Highway” (Zapomniana autostrada) akurat była w remoncie. Kładziono asfalt i naprawiano pobocza. Krótka rozmowa z drogowcami, przyjazny uśmiech i mamy pozwolenie na przejazd. Część nowego asfaltu, część szutru, trochę błota i mnóstwo kurzu- tak wyglądała droga. Moja poczciwa honda podskakiwała na wybojach i kamieniach jak piłeczka, ale daliśmy radę. Trasa kończy się w Whangamomona. Miasteczko posiada jedną ulicę, pocztę, muzeum i hotel z 1902 roku. Co ciekawe ma tylko 10 zarejestrowanych stałych mieszkańców, a odwiedza je

rocznie około 25 tys. turystów.

Kolejny dzień, kolejne kilometry. Jedziemy do Rotorua, miasta bardzo ważnego dla Maorysów - rdzennych mieszkańców Nowej Zelandii. Nas interesują gejzery termalne, które uważane są za nowozelandzką stolicę zjawisk geotermalnych. Na terenie parku obejrzeć można gejzer Puhutu, który robi dla nas przedstawienie i wyrzuca co kilka minut parę, i wodę na ponad 20 metrów, a mocny zapach siarki nie pozwala normalnie oddychać. Maorysi mają twarze, a zwłaszcza brody tatuowane w charakterystyczne wzory. Obserwujemy ich występ w jedynym maoryskim teatrze,

Występy rdzennych mieszkańców wysp, Maorysów, w Parku Narodowym Rotorua, to coś, czego nie możecie przegapić.

momencie podchodzi do nas motocyklista i zagaja rozmowę. Wiecie taki „small talk” – skąd jesteście, gdzie jedziemy. Proponuje nam małą korektę wytyczonej trasy i zjazd na półwysep Banksa, stanowiący pozostałość po dwóch wulkanach, których kratery zalane są wodami oceanicznymi. Ukształtowanie terenu pozwala nam objechać znaczną część półwyspu, napawać widokami i cieszyć się przy każdym zakręcie.

Powoli kierujemy się w stronę miasta Picton, aby z portu promem przepłynąć na Wyspę Północną do Wellington. Park Narodowy Egmont z wulkanem Taranaki, który bardzo chcieliśmy zobaczyć to pierwszy punkt naszego zwiedzania. Wulkan jest czynny, uznany za drzemiący. Jego szczyt zazwyczaj przykryty jest mgłą. My mieliśmy trochę szczęścia – szczyt pokazał się w naszych





OCEANIA

NOWA ZELANDIA



Pamiątkowe zdjęcie z Japonką w kimonie

pierwotnego. Jednak po emisji filmu ludzie zaczęli tłumnie przyjeżdżać, aby zobaczyć Shire, którego już nie było. Po ekranizacji kolejnej części sceneria filmowa została i stała się wielką atrakcją turystyczną. Jest strasznie komercyjna, tego nie można nie zauważyć, ale warto tu było przyjechać.

Siedząc w jednym z hosteli, wpadła nam w ręce ulotka dotycząca miejscowości Coramandel i wąskotorowej kolejki, którą można się przejechać. Okazuje się, że tory są naprawdę wąskie, mają 381 mm rozstawu. Kolejka powstała dzięki jednemu człowiekowi, który wybierał ze zboczy glinę dla okolicznych garncarzy. Brzegi góry okładał tym co miał pod ręką – są ściany z butelek, opon, ceramiki. Bilety trzeba wcześniej rezerwować, ale nam się udaje i czekamy tylko godzinę na naszą wycieczkę.

Jedziemy do Waitomo gdzie usytuowane są jaskinie ze świecącymi robaczkami. Na „sufitach” i ścianach można zauważyć setki niebieskich punkcików – to larwy muchówki, które świecą

który leży na terenie rezerwatu i podziwiamy ich narodowy taniec HAKA .

Każdy, kto oglądał „Hobbita”, czy „Władcę Pierścieni”, wie w jakich domkach mieszkają ich bohaterowie - w maleńkich. Jedziemy do Hobbitonu, aby na własne oczy zobaczyć, gdzie mieszkali Frodo i Bilbo ze swoimi przyjaciółmi. Motocykle zostawiamy na ogromnym parkingu, kupujemy bilety i autobusem, z przewodnikiem, jedziemy kilka kilometrów dalej. Historia Hobbitonu jest zagmatwana. Po nakręceniu filmu cały plan zdjęciowy został rozmontowany, a teren przywrócony do stanu



Drogi Nowej Zelandii są inne, daj sobie więcej czasu

Hobbiton - Duży się do domku nie zmieścił, będzie musiał zadowolić się rolą Gandalfa...



Caramandel, kolejka wąskotorowa o długości 2 km wykonana przez jednego człowieka



OCEANIA

NOWA ZELANDIA



Posiłki nie były za bardzo urozmaicone

zwabiają pożywienie. Jesteśmy trochę zawiedzeni, bo nasze aparaty nie są w stanie zrobić zdjęć, pozostaje zachować te obrazy w pamięci.

Termin zwrotu wypożyczonych motocykli nieubłaganie się



Od czasu do czasu trafiła się jakaś sałatka, raz zupa tajska czy owoce morza, typu ryba lub muszle. W tym temacie czuję lekkie rozczarowanie. Jedynie kawa uratowała całe zaplecze kulinarne. W każdej najmniejszej mieścinie znajdzie się kawiarnia ze świeżo mieloną, aromatyczna kawą. Tej nie można było sobie odmówić.

NOCLEGI

Do Nowej Zelandii pojechaliśmy w szczycie sezonu, dlatego noclegi rezerwowaliśmy jeszcze przed wyjazdem. Nasz pobyt miał być raczej budżetowy, więc

najczęściej spaliśmy w hostelach, noclegowniach dla backpackersów, czy w bungalowach na kempingach. Podstawowym warunkiem był dostęp do łazienki i łóżko.

Spędziliśmy 19 dni w wymarzonej podróży. Było daleko, czasem ciężko, ale na pewno było warto. Przejechaliśmy około 4 tys. km na motocyklach, 1 tys. km samochodem, wypiliśmy niezliczoną ilość kaw, zobaczyliśmy widoki, które nie wszystkim będą dane zobaczyć, oblecieliśmy kulę ziemską dookoła. Zakładaliśmy budżet około 15000 PLN/osobę. W wyniku koniecznych zmian wyszło jakieś 17000 PLN od każdego z nas.



MAŁA I DUŻY W PODROŻY

Mała i Duży w Podróży – od 5 lat wspólnie cieszą się każdym dniem spędzonym na motocyklach. Nieustannie cierpią na notriphobię – lęk przed tą chwilą, gdy nie będą mieli zaplanowanej kolejnej podróży. Współpracują – on wymyśla kierunek wyjazdu i planuje trasy, ona ogarnia wizy i noclegi. Dla nich trasa jest mniej ważna niż ludzie, których można na niej spotkać. Ich motto to „Nie odkładamy marzeń, odkładamy NA marzenia”.

zbliża. Dwa kółka zmieniamy na 4 i teraz autem z klimą zwiedzamy tereny położone powyżej Auckland, z którego za dwa dni musimy wylecieć.

JEDZENIE

Jadąc do Nowej Zelandii marzyłam o wymyślnych potrawach, poznawaniu smaków, z którymi się nie spotkałam. Nic bardziej mylnego. Śniadania czy kolacje najczęściej robiliśmy sobie sami, a na obiady stawaliśmy gdzieś po drodze. Najpopularniejszym daniem w karcie był zazwyczaj...hamburger lub „chips and fish”. Nic ponadto.



ROAD OF ADVENTURE



POPZEDNI NUMER ZNAJDIETIE NA
[HTTPS://ROADOFADV.COM](https://roadofadv.com)



ZOSTAŃ PATRONEM ROAD OF ADVENTURE



PATRONITE